

Nr 19 (25), 6–13 LIPIEC 1947
Cena 20 zł

Wakacje!

FILM POLSKI — FOTO DĄBROWIECKI

WORLD YOUTH FESTIVAL

PRAGUE CZECHOSLOVAKIA
JULY 20-AUGUST 17, 1947

ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY

Prasa raz po raz przynosi wiadomości z odbywających się we wszystkich niemal państwach oraz wśród młodzieży kolonii przygotowań do udziału w Światowym Festiwalu Młodzieży Demokratycznej w Pradze.

Festiwal odbywać się będzie od dnia 20 lipca przez okres 4 tygodni w „Złotej Pradze", pięknym i bogatym w zabytki historyczne stołecznym mieście naszego słowiańskiego sojusznika.

Spotkają się latem w Pradze przedstawiciele młodzieży różnych narodowości, przedstawiciele młodzieży demokratycznej różnych światopoglądów. Młodzież komunistyczna, socjalistyczna, katolicka...

Leży przede mną wydawany w Pradze biuletyn festiwalowy. Czytam w spisie uczestników Festiwalu:

„Dotychczas zgłosiły udział organizacje młodzieżowe z: Afryki Zachodniej, Północnej, (Algier i Tunis), z Albanii, Belgii, W. Brytanii, Bułgarii, Finlandii, Francji, Grecji, Grenlandii, Węgier, Indii, Iranu, Włoch, Korei Luxemburga, Meksyku, Mongolii, Holandii, Norwegii, Nowej Zelandii, Palestyny, Polski, Republikańskiej Hiszpanii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych, ZSRR, Wenezueli, Viet-Namu, Jugosławii, Czechosłowacji, lista ta powiększa się z dnia na dzień.

Już te suche dane dyktują pierwszy wniosek, który jest zasadniczą wytyczną Festiwalu:

40.000 młodzieży z całego świata spotka się tu, pozna i zaprzyjaźni;

to co ich łączy, to umiłowanie pokoju, wolności i sprawiedliwości społecznej;

to co ich łączy, to walka o lepsze jutro, walka, w której nie szczędzili i nie szczędzą krwi i ofiar;

to co ich łączy, to wysiłek w pracy nad odbudową swych państw zniszczonych wojną, to przebudowa społeczna ich państw nie nadążających za postępem, to, co ich łączy, to walka o wyzwolenie spod ucisku faszystowskiego i kolonialnego.

Bo różne warunki, różna sytuacja odpowiada państwom, które reprezentować będzie tych 40.000 młodych. Ale różność ta nie przysłania wspólnego celu wypisanego w naczelnym haśle Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej: „Młodzieży łącz się w walce o trwały pokój"!

Jesienią 1945 r. na Światowym Kongresie Młodzieży w Londynie delegaci 64 państw powtarzali za delegatem Murzynem rotę ślubowania:

„Ślubujemy, że będziemy budować jedność młodzieży wszystkich krajów, wszystkich ras, wszystkich barw skóry, wszystkich narodowości, wszystkich wyznań:

aby usunąć wszelkie ślady faszyzmu z ziemi,

aby wybudować głęboką i szczerą przyjaźń międzynarodową między ludami świata,

aby utrzymać sprawiedliwość i trwały pokój,

aby usunąć nędzę, marnotrawstwo i bezrobocie.

Przybyliśmy tu, aby potwierdzić jedność całej młodzieży, oddać hołd naszym towarzyszom, którzy polegli i złożyć ślubowanie, że zwinne ręce, śmiałe ramiona i młodzieńczy entuzjazm nigdy już nie będą niszczone.

Będziemy budować świat piękny i wolny.

Z naszej młodości i gorzkich doświadczeń wykuwamy naszą jedność!"

Z niemałymi osiągnięciami przybywają w roku 1947 do Pragi uczestnicy Festiwalu.

Będziemy mogli wzajemnie zapoznać się z naszymi osiągnięciami w wypracowaniu nowych form pracy organizacyjnej — przedyskutowane zostaną zasadnicze problemy polityczne, gospodarcze i kulturalne na podstawie przygotowanych przez poszczególne państwa referatów (np. delegacja polska opracowuje zagadnienie dotyczące poprawy bytu młodzieży wiejskiej); wnioski z dyskusji posłużą delegatom SFMD do Rady Gospodarczej ONZ, dla sformułowania postulatów młodzieży.

Będziemy mogli wzajemnie przekonać się tam o rezultatach naszej pracy kulturalno oświatowej (odczyty, popisy zespołów teatralnych, tanecznych, muzycznych, solistów wystawy!!).

Zapoznamy się z udziałem młodzieży w odbudowie jej krajów, z walką młodzieży hiszpańskiej, Viet-Namu, Grecji, Indii...;

Będziemy mogli popisać się naszą tężyzną fizyczną, rozegrane spotkania różnych konkurencji staną się dopingiem do podnoszenia sprawności fizycznej.

Spotkają się w Pradze przedstawiciele różnych kultur narodowych i tradycji ludowych: tańce, pieśni, i zabawy ludowe zbliżą nas i zaprzyjaźnią.

Słusznym punktem programu Festiwalu jest odbudowa wsi czeskiej Lidice, zniszczonej przez Niemców. Słusznym dlatego, że odbudowa ta będzie symbolem wysiłku młodzieży całego świata w usuwaniu niszczycielskich skutków faszyzmu, w odbudowie nowego świata, będzie aktem solidarności międzynarodowej młodzieży!

Wyjeżdża do Pragi około 350 Polaków. Przedstawiciele ZWM, OMTUR, ZMWRP „Wici", ZMD, ZHP, Młodzież Zw. Zawodowych, Polskiego Czerwonego Krzyża i młodzież niezorganizowana. Delegacja nasza będzie więc reprezentowała całą młodzież polską, będzie reprezentowała interesy całej naszej młodzieży.

Nasi prelegenci będą opowiadali kolegom z całego świata o naszej walce z okupantem, o naszym udziale w odbudowie. Robotnicy opowiedzą o „Wyścigu Pracy", chłopi o Reforme Rolnej i zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych. Młodzież ucząca się będzie opowiadała o osiągnięciach naszej oświaty, o demokratyzacji szkół i uczelni. Nasi muzycy staną do konkursu organizowanego w ramach Festiwalu, co im pozwoli popisać się naszą kulturą artystyczną, nasz chór reprezentacyjny i zespoły taneczne nauczą kolegów z całego świata naszych robotniczych, narodowych i ludowych pieśni i tańców.

Urządzona przez nas wystawa pozwoli przekonać się uczestnikom Festiwalu o nowej polskiej rzeczywistości, o tym co dała młodzieży Polska Ludowa i co młodzież Polski Ludowej zrobiła dla swego państwa.

Zbliżają się dni Festiwalu. Dni święta młodości i przyjaźni międzynarodowej. Chodzi o to, by nasza delegacja pamiętała będąc w Pradze, że reprezentują nas wszystkich, a po powrocie przyniosła nabyte doświadczenie w najszersze masy naszej młodzieży. Chodzi o to, by pozostający w kraju w okresie trwania Festiwalu jeszcze więcej wysiłku włożyli w krzewienie idei walki młodego pokolenia o trwały pokój, idei międzynarodowej solidarności demokratycznej młodzieży świata.

Wojciech Krasucki







„My rządzimy światem, a nami kobiety" — jak mawiał dr Franasik. Słusznie więc należy przynajmniej raz do roku zerwać z tradycją ukazywania w rubryce „Ze świata" prezydentów, ministrów i „bohaterów" z ławy oskarżonych — i ukazać zamiast głowy szyję, która nią kręci — kobietę. Kobieta jak wiadomo, jest to przeważnie stworzenie, które ubiera się w kwiatki, w paski, a ostatnio z wielkim zamiłowaniem w groszki. Jest przytem tak perfidna, że pelerynę i parasol robi z jednego materiału. Dlaczego? Żeby było trudniej zgadnąć. Czasem kobieta zachowuje tradycyjny strój swoich babek — zwłaszcza w uroczystych okolicznościach życiowych. Oto młoda Norweżka w dniu zaślubin występuje w pełnym przepychu kultury zdobniczej swego ludu. W ręku trzyma welon wielkiej wartości z własnoręcznie sporządzonej koronki. Oczywiście nie każda może sobie na to pozwolić — naprzykład to amerykańskie dziewczę ubrane jest bardzo ubogo i przewiewnie, jak przystało zresztą na słynną pływaczkę i bohaterkę kryminalnych filmów — Esther Williams.



— Czy mi do twarzy w helikopterze? — Okazuje się bowiem, że kobieta niekiedy kładzie na siebie helikopter, jak uczyniła to A.K. Show, pilotka, New York.



Niektóre kobiety pracują również zawodowo. Ta urocza panna w mundurze oficera Gwardii pełni odpowiedzialny zawód królewny brytyjskiej.



A oto hrabina Czernyszew, współpracowniczka obcego wywiadu na ławie oskarżonych w Paryżu.



Te miłe baletniczki są podobno entuzjastkami muzyki i — jak podaje Agencja Keystone — „składają hołd" Beethovenowi. Też swego rodzaju praca — praca na popularność.



„Wszystkie kobiety są jednakowe" — mawiał dr. Franasik. Ale tu nie miał racji. Rozmaite są kobiety na szerokim świecie, różnie wyglądają i różnie rozumieją pracę i swoje kobiece zadania. Oto uczenica fabrycznej szkoły zawodowej w Moskwie, Nina Pawłowa, przyszły tokarz i świadomy obywatel socjalistycznego państwa.

Krystyn Olszewski

Byliśmy w Oświęcimiu

Opowiadanie niniejsze wyjęte zostało z tomu prozy autentycznej „Byliśmy w Oświęcimiu" (Oficyna warszawska, Monachium 1946), na który składają się prace J. N. Siedleckiego, K. Olszewskiego i T. Borowskiego.

Schieben, schieben, feste schieben!

Skandowane ochrypłym głosem kapy, niemieckie wyrazy wrzynają się mocno w pamięć. Na całe życie.

Schieben, schieben, feste schieben!

Okrzyki, raz bliżej, raz dalej powtarzane przez uzbrojonych w kije grupowych, lecą szarpane porywistym wiatrem, który jak lodowaty strumień pędzi wzdłuż wagonów. Jakże trudno setce wygłodniałych ziębniętych ludzi ruszyć ciężko naładowany skład pociągu. Wagony, oślizgłe, cuchnące pudła stoją jak przymarznięte do szyn. Ale już na przodzie poddające rytm okrzyki zmieniają się w potworną gmatwaninę przekleństw, głuchych odgłosów kija, bijącego o mięso ludzkie i tłumionych jęków.

Mimowoli pochylam się mocniej, opieram drugą rękę o wystającą z okuć wagonu żelazną śrubę i staram się jak najwierniej wygięciem ciała udawać wysiłek. Głowę chowam przezornie jak najgłębiej między ramiona. Jak uderzy kijem, to w ramię, nie w głowę. Wrzawa od przodu zbliża się. Szarpane gorączkowym wysiłkiem zaczynają szczękać spojenia wagonów. Stukot zderzaków przesuwa się do tyłu i wraca z powrotem groźnym, metalicznym echem. Wreszcie zamiera. Nic. Za sobą czuję oddech następnego. On również nie pcha. Wiem napewno. Nie pcha nikt. I pociąg stoi.

Schieben, schieben, feste schieben!

Dopadło paru esmanów, kopiąc i waląc pięściami na wszystkie strony. Grupowi z nową energią zaczęli okładać kijami pochylone grzbiety. Oni mają władzę życia i śmierci nad dwudziestu ludźmi. I wiedzą jak łatwo ją stracić. Wiedzą jak łatwo stać się znowu głodnym muzułmanem i jak bolą gołe ręce od zimnego żelaza na mrozie i deszczu. Wiedzą, że lepiej bić, niż być bitym. Ale nad wszystkim góruje wściekły z pasji krzyk kapy. Wszystko jedno, pchasz uczciwie czy udajesz. Kapo był przez całe lata niewolnikiem, teraz wylazł na wierzch, więc idzie wzdłuż wagonów i wali każdego pod rząd, bez wyjątku.

Pociąg drgnął znowu. Powoli poczęły się toczyć wagony na bocznicę Bahnhofu. Przede mną idzie Karol, kolega z jednej pryczy. Mocno się pochylił i szuter osypuje mu się z pod nóg. Pcha naprawdę. Mięśnie sprężają się w oczekiwaniu, strach paraliżuje myśli. Kątem oka dostrzega wyłaniającą się zza wagonu czarną postać kapy. Podnosi rękę z kijem. Karol ugina się jakby chciał uciec. Nie mija go. Teraz ja.

— Kapo Kurt!

Podawany z ust do ust okrzyk dociera do mnie wraz z ochrypłym rykiem:

— Kommt schon! — i powtarzany oddala się ode mnie.

Odprężenie. Nogi trzęsą się w kolanach. Miałem szczęście. Rozglądam się ostrożnie, chowam ręce wgłąb zadługich rękawów. Idę przylepiony bokiem do wagonu. Nie mogłem już wytrzymać tego mrożącego dotyku żelaza.

— Zbiórka!

Potykając się o pokłady zbiegam z nasypu, wypatrując na drodze grupowego, który z podniesioną łapą zwołuje swoich ludzi.

— Piąta setka, trzecia grupa, Antreten do cholery!

Chcę się schować w środku szeregu, tam bezpieczniej. Przed nami już pięciu, ale dwaj środkowi chwieją się na nogach, trzymając się kurczowo stojących obok. Odciągam jednego do tyłu, drugiego łapie Karol i wskakujemy na ich miejsce. Liczący grupowy rzuca się w naszą stronę:

— Dołączyć, pokryć, wy świńskie psy!

Nie oglądam się za siebie, ale słyszę jak wali po pyskach.

— Stój, przeklęty muzułmanie jak ja liczę!

Policzył nas. Ruszamy z powrotem na koniec pociągu. Mamy rozładować wagon z pustakami.

— Dali, dali, los prędko!

— Patrz, jak on mi przywalił — skarży mi się Karol, pokazując krwisty guz na łbie.

— Co robić, przyjdzie i na niego czas — odpowiadam, chuchając w ręce. Jesteśmy przy wagonie. Paru silniejszych rzuca się do drzwi i otwiera je ze szczękiem rygli i zgrzytem zardzewiałej blachy. Wdzierają się do środka. My musimy nosić. Ach, gdyby tak choć raz udało się wejść na górę! Podawać łatwiej.

— Te, Karol, podsadź mnie, tędy po hreku.

Łapię się zimnego prętu poręczy i gramolę się do góry. Przez otwarte drzwiczki budki doczepionej do wagonu, dostrzegam leżące na podłodze skórki od chleba. Ruch ręki jest szybszy niż myśl, ale już zdołu dochodzi szept:

— Złaź, zielony idzie!

Waham się. Może zdążę przeleźć przez wierzch do środka?

— Prędzej!

Ślizgając się drewniakami po oblodzonych stopniach wagonu zsuwam się na ziemię.

— Pokaż, co masz.

Więc jednak widział. Pokazuję niechętnie zdobycz. Daję mu jedną skórkę. Pakuje do ust i chciwie patrzy na resztę. Jest silniejszy ode mnie. Dzielę wszystko na połowę. Wypada po trzy skórki i po kawałeczku. Dając mu do wyboru w ostatniej chwili zauważam, że kawałeczki są nierówne. On orientuje się błyskawicznie i bierze większy. Bydlę. Tuż koło nas kawał cegły rozbija się z hukiem o blachę wagonu. Odskakujemy i kulimy się nie patrząc nawet, kto w nas rzucał. Z sąsiedniego wagonu sypią się za nami przekleństwa.

Nasza grupa rozstawiona łańcuchem podaje pustaki od wagonu aż na szczyt olbrzymiego stosu za drogą. Biegnę na koniec, pod ten stos. Po drodze ktoś mnie kopie, nie oglądam się, może grupowy? Zatrzymuję się dopiero pod kupą. Włażę na nią. Na górze ostry wiatr przewiewa na wylot. Odbieram podawane cegły i układam je w stos, dziwaczne szamotowe sześciany. Układam rząd za rzędem.

— Poco im takie ogniotrwałe pustaki? Nie wiem.

Z suchym, ceglanym dźwiękiem ustawiam je coraz wyżej, tworząc barierę od strony drogi. Zimno tu, ale nie jest tak źle. Między pustakami pełno dziur i rozpadlin, których nie widać z dołu. W pewnej chwili ryzykuję i gdy nikt z podających nie widzi, kucam za moją barierą w takiej głębokiej rozpadlinie. Cicho tu i spokojnie. Ledwo słychać daleki krzyk od wagonów i przytłumiony stukot układanych cegieł. Grzeję w kieszeni zmarznięte dłonie i pieszczę nimi skrawki zeschniętego chleba, który zaraz będę jadł. Żuję je długo i dokładnie, a potem wywracam kieszeń i wybieram starannie najdrobniejsze okruszyny. Stukot cegieł zza bariery staje się wyraźniejszy. Ci jak zwykle gadają o żarciu, muzułmani, o niczym innym myśleć nie potrafią.

— Panie radco, a tak na śniadanko kawusia z kożuszkiem, co?

— Kakałko, kakałko, panie mecenasie, bułeczka z kawiorkiem, ale tylko czerwony kawior! I grubo masła...

— A ja skrzydełko gąseczki i coś ostrego pod nie...

— E, proszę pana, któż gąseczkę na śniadanie?

Nie, w kieszeniach nic już nie ma. Że ten Karol zobaczył. Trudno, z nim lepiej żyć dobrze. Mówi po niemiecku. Na bloku jest pomocnikiem miskowego. Może mi znowu da obierek? Tak, dzisiaj wtorek, powinny być kartofle. A na porcje culaga. Może by tak za pół pajdki kupić kartofli? Powinni dać pięć, sześć, a jak mniejsze to i siedem. Zjadłbym je z margaryną, a potem chleb z marmeladą, a na końcu kiełbasę. A może lepiej kupić rękawiczki? Ukrainiec z drugiej bukowy sprzedaje tanio, za pół culagi podwójne, nie podrą się prędko. Skąd on je ma, pewnie kradnie... Ale ma co jeść. A gdyby tak... Zimno jest bez ruchu. Przez szpary widać blade od mrozu niebo. Gdzieś nisko nad horyzontem słońce rozlewa się mglistą plamą, a z drugiej strony naciąga nad drogę szara zasłona śnieżnych chmur. Która to będzie godzina? Chyba już koło dziesiątej. Jeszcze sześć godzin. Z prawej strony przez dziurę pustaka widać budujące się czerwone bloki na Neubau. Olbrzymi dźwig podnosi co chwila wagoniki z materiałem i opuszcza je na budowę. Z parowozu kolejki bucha biały dym i zastyga kłębami w powietrzu jak piana z białek. Wiatr uspokoił się i mleczna para długo wisi nad ziemią, nim się roztopi i wsiąknie w powietrze.

Dobrze by było tak pracować w parowozie...

Pomieszany i leniwy szmer układanych cegieł staje się szybki i nerwowy. Trzeba wyjrzeć, co się dzieje. Wyłażę na wierzch z pustakiem w łapie. Rzeczywiście, dzieje się. Na środku drogi między nami a wagonem esman kopie po głowie i brzuchu leżącego na ziemi Serba. Obok, nad potłuczonym pustakiem stoi grupowy z okrwawioną mordą. Czapka leży na ziemi. Dobrze dostał.

Esman przyjrzał się Serbowi, czy ruszy się jeszcze, kopnął dla pewności jeszcze raz

w podbrzusze, a potem zwrócił się do grupowego.

— Ty głupi psie, ja ciebie ale nauczę pilnować ludzi, żeby nie niszczyli materiału!

Ja ci już dam uprawiać sabotaż!

I w mordę, jeszcze raz...

— Panie Rottenführer, ja kazałem, ale on się nie słuchał... — Znowu w pysk.

— Ja tobie zrobię meldung, numer!

Drżąc, grupowy nadstawia numer na piersi do zapisania.

— Jesteś ty Niemiec?

— Jawohl. Ja jestem Volksdeutsch.

— Ty świnio śmierdząca, pójdziesz do SK! A teraz rób zbiórkę, aber los! Ustawiamy się przepychając w milczeniu. Teraz nam dadzą... Grupowy zakrwawiony i blady lata od czoła do końca grupy licząc nas raz po raz. Powinno być dwudziestu. Stoi siedemnastu, jeden leży, on sam — razem dziewiętnastu.

— Co, nie zgadza się? Jeden uciekł, co?

Esman pogwizduje przez zęby i powoli przesuwa pistolet z boku na przód.

— Kapo Kurt! — woła i znów gwiżdże.

Grupowy gorączkowo szuka po kieszeniach kartki z zapisanymi numerami i załamującym się głosem zaczyna wykrzykiwać nasze numery.

Nagle z pierwszej piątki wystąpił Karol i ze zdjętą czapką zameldował:

— Panie Rottenführer, ja wiem, gdzie się jeden schował. Jeden Polak z mojego bloku, ja go znam!

Na gołej czaszce Karola widnieje guz ze śladami zakrzepłej krwi.

— Gdzie, pokaż!

Karol wyciągniętą ręką wskazuje na stos cegieł.

— Idź przodem!

Idzie pierwszy, za nim esman z pistoletem w garści, z daleka nadbiega zadyszany kapo.

Karol pewnym krokiem włazi na górę i pokazując na zbudowaną przez mnie barierę mówi!

— Tam on się schował, w tej dziurze!

Czuję jak serce poczyna mi walić gorączkowo i dziesiątki myśli krzyżują się w mózgu. Potworny strach dławi wszystko... Przecie jak powie, że ja, to wszystko jedno utłuką. Jak przez mgłę widzę kapę, który włazi na wierzch, rozgląda się po rozpadlinach. Na dole stoi milczący esman i Karol, wyprostowany na baczność.

— Panie kapo, jest, jest, tam!

Zza kupy cegieł wysunęła się wysoka, chuda, zgięta postać. Muzułman trzymał w rękach opadające spodnie i nie wiedział, co z sobą zrobić. Chciał się cofnąć, ale osadził go w miejscu krzyk kapy: — Stój!

Stoi ogłupiały, drżący, z kościstych dłoni opuściwszy spodnie. Po białych cienkich nogach spływa rzadki kał.

Dopadł go Kurt, złapał za gardło i począł trząść. Zdawało się, że głowa odleci lada chwila jak gruszka z gałęzi...

Teraz zaczynają z nami. Dawny grupowy dostał piętnaście kijów. Na jego miejsce jest Karol. Unikam jego wzroku. Chowam się za innych.

— Biegiem! Biegiem! Szybko!

Znowu rozładowujemy ten sam wagon. Tylko teraz nie podajemy pustaków jeden drugiemu. Biegiem odnosimy je na stos.

Przy drzwiach wagonu raz po raz powstaje zator. Każdy śpieszy się po następny ładunek, byle uniknąć kija.

— Co stoicie tam? świnie leniwe! Ja wam ale pokażę! Ty! właź na wagon i wyrzucaj pustaki górą, rozumiesz? A wy łapać na dole! Ale szybko! Karol krzyczy ochryple przeplatając rozkazy niemieckimi przekleństwami i rozgania pięścią stojących przed wagonem.

Kapo przygląda się z zadowoleniem, oczyszczając zabrudzone ceglastym pyłem spodnie, zaprasowane na kant. Śmieją się obaj z esmanem.

Ledwie się trzymam na nogach. Gdy nikt nie widzi przykładam do twarzy skrwawioną już zupełnie szmatę. Krew sączy się ciągle z opuchniętej, rozciętej na wylot wargi. Próbuję językiem zębów. Górny kieł z prawej strony rusza się jak klawisz, siekacze również, ale trochę mniej. Jak to właściwie było? Wiem, że łapałem spadające z góry pustaki. Musiał się któryś odbić o wagon i zamiast na ręce spadł na twarz.

Z daleka, z obozu dochodzą już dźwięki marsza. Stoimy na drodze między magazynami Bahnhofu, czekając aż przejdą inne komanda. Dygocę z zimna i wyczerpania. Przecięta warga piecze na mrozie, ból wzmaga się i opada wraz z tętnem krwi.

Obok nas stoi kolumna z magazynu. O tłustych, wypasionych gębach, szeroko mimo zimna porozpinani, żartują, śmieją się ściszonymi głosami. Patrzę na nich z nienawiścią i zazdrością. Wreszcie oni ruszają pierwsi, są pierwszą setką komanda, za nimi nie niosą trupów. Jakże ich nienawidzę! Oni przeżyją obóz.

Ja też chcę przeżyć. Wiem, że muszę się wydostać z piątej setki, tu nie wytrzymam.

*

— Tak przyjacielu. W dwa dni później odważyłem się na bohaterski krok. Podałem się w kancelarii obozowej za rzeźbiarza. Zauważ, że nie miałem nigdy w ręce dłuta. Ale rzeźbiarze i malarze byli cenieni w lagrze dla ich wyrobów. Przydzielili więc mnie na lepsze komando. Gdy okazało się, że nie mam pojęcia o snycerstwie, zostawili mnie na tym nowym komandzie jako pomocnika stolarskiego. Przetrzymałem w warsztacie najgorszy zimowy czas, a potem ruszyliśmy do sąsiedniego Birkenau budować nowy obóz. Tego roku wiosna była bardzo wczesna. W końcu lutego słońce stopiło śnieg zupełnie. Ale nie baliśmy się już tak słynnego oświęcimskiego błota. Fachowcy! cieśle! stawialiśmy baraki przyszłego szpitala pod lasem. Chodziło się po kostki w błocie, to prawda, ale było się gdzie ogrzać, wysuszyć. Wiadomo, gdzie jest dosyć drzewa, tam i ogień da się rozpalić. Przybijając gwoździami dachowe płyty wygrzewałem się na dachu. Tylko od czasu do czasu wiatr przypędzał do nas smród palących się stosów. Post, który przez cały dzień stał na wieży w tym wstrętnym dymie, klął obrzydliwie na nas. A obok po drodze wlokła się miesząc błoto, bita i popędzana gromada kolumny transportowej. Gubiąc w gęstym jak ciasto błocie drewniaki, nosili muzułmani z odległej rampy po pięć żółtych cegieł szamotowych do budującego się w lasach czwartego krematorium. Pod sąsiednim gotowym już barakiem zbierała się na obiad piąta setka ich komanda. Pod ścianą tego bloku zostawiali swoje miski i składali swoje trupy. Często podnosili głowy i patrzyli w górę, ku nam siedzącym wygodnie na suchym, wygrzanym dachu.

Przeżyłem obóz, a z piątej setki została mi na pamiątkę mała blizna.

Patrz, tu.

KSIĄŻKI

M. W. Gogol: „Przygody Czyczykowa, albo martwe dusze". Przekład Władysława Broniewskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka", Warszawa — Bydgoszcz 1946. Stron 268.

Koniec pierwszej połowy w. XIX-go, to okres, na który przypadają daty wszystkich ważniejszych ruchów rewolucyjnych tego stulecia. W wielu krajach Europy upamiętniły się te lata poważnymi zaburzeniami społecznymi. „Najspokojniej" toczyło się wtedy życie w Rosji carskiej, bo też największy bodaj terror panował właśnie tam. Jednakże całokształt zjawisk codziennego życia wykazywał wszystkie oznaki, jakie charakteryzują okresy schyłkowe, okresy, w których tylko radykalne zmiany ustrojowe uratować mogą społeczeństwo.

Od lat czterdziestych ubiegłego stulecia do Wielkiej Rewolucji rosyjskiej było jeszcze, jeśli chodzi o ścisłe pojęcie czasu, dość daleko — lecz w książce Gogola dostrzegamy już, niezamierzoną nawet przez autora, zapowiedź tej rewolucji. Zapowiedzią taką był przerażający stan obyczajowy i moralny społeczeństwa, a szczególnie tych jego sfer, które nierozerwalnie związane były z ustrojem carskim. Urzędnicy, tępi biurokraci i łapownicy, zacofane ziemiaństwo — oto przedmiot świetnej, z satyrycznym zacięciem napisanej powieści Gogola. Książka ta, pisana w latach 1835 — 1842, jest pierwszym trwałym dziełem z zakresu rosyjskiego realizmu powieściowego. Sprawy codziennego życia, codziennych brudów i zakłamań — uwypuklił autor przy pomocy tak kapitalnych postaci, jakimi są: główny bohater powieści hochsztapler Czyczykow, skąpiec Pluszkin, zdegenerowana obywatelka ziemska Koroboczka, i wielu, wielu innych. Biczem bezlitosnej satyry smaga pisarz przedstawicieli chylącego się ku upadkowi systemu społecznego. Ten tragiczny i groteskowy zarazem obraz jest tym bezstronniejszy, iż stworzony został przez artystę niewiele wspólnego z ruchami rewolucyjnymi mającego. Jest to najoczywistszym dowodem, że prawda społeczna danego okresu dziejowego odzwierciadla się w sztuce bez względu na aktualne stosunki i sytuacje. Winni z tego wyciągnąć odpowiednie wnioski ci, którzy lekceważą czasem żelazną logikę i konsekwencję historycznych wydarzeń.

Chętny czytelnik łatwo przezwycięży odległość, istniejącą niezaprzeczalnie między charakterem epoki Gogola i czasem, w którym dziś żyjemy. Otrzyma w zamian pełną satysfakcję artystyczną, oraz będzie miał sposobność ustalenia, ile pozostałości dawnych powszechnych objawów zgangrenowania moralnego społeczeństw pokutuje jeszcze i dziś w pewnych, wiadomych sferach.

Przekład Władysława Broniewskiego bardzo dobry. Za cenne wznowienie „Martwych dusz" należy się Spółdzielni Wydawniczej „Książka" pełne uznanie. **Adam Włodek**

Stolica Kazachstanu, Alma-Ata. Gmach [illegible] Teatru Opery

W RADZIECKICH STOLICACH









Stolica Uzbekistanu, Taszkient. U góry — Akademia Medyczna, u dołu — gmach Rady Ministrów Republiki.

Stolica Tadżekistanu, Stalinabad. U góry — Tadżycka Opera, u dołu — gmach Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej w Tadżekistanie.







FOTO SIB

Serca kwiatów



DALIA



JASKIER



LWIA PASZCZA — przekrój zamkniętego kielicha



MAGNOLIA



Pawie pióra



Krakowiacy i górale



Dożynki

Krakowskie — kraj malowniczych wiosek i miasteczek. Kraj barwnych strojów, pięknych dziewcząt, mocnych chłopców.

Życie współczesne wypiera ludowość naszych wsi. Bieg życia jest twardy. Miasto idzie na wieś. Dobrze. Żal jednak barwności stroju ludu polskiego.

Jednak...

Zlot zespołów świetlicowych w Bieżanowie pod Krakowem — pierwszy od czasu zakończenia wojny — pokazał zamiłowanie wiejskiej młodzieży do pięknej tradycji...

Młode, roześmiane twarze. Dziewczyny krasne. Chłopcy ogorzali. Chłopi i robotnicy. Wici, TUR, Ż.M.W. Wszystko prężne — zdrowe.

Tańce, inscenizacje, pieśni, deklamacje.

Krakowiak. Drzazgi lecą z desek. Fruwają spódnice. Barwne wstążki krakowianek. Jasne warkocze. Dzwonią pasy mosiężnymi kółeczkami.

Dwieście dwadzieścia cztery pary nóg odbija siarczysty rytm krakowiaka. Pawie pióra na czerwonych czapkach krakowskich raz po raz ciemnieją zielono-złotym lasem na błękicie nieba. Potem idą kolejno:

Polonez — zespół świetlicowy z Bieżanowa.

Budujemy dom społeczny — Koło Młodzieży Wiejskiej Wici z Modlnicy.

Wesele krakowskie — K.M.W. Wici z Zielonki.

Dożynki krakowskie—K.M.W. Wici z Bieńczyc.

Słońce zalało polanę. Trochę cienia drzew. Parasole.

Po trudzie, napięciu nerwów — bo to niektóre zespoły pierwszy raz a wogóle pełno gości, nawet chińskich — zabawa. Wesoła trzeźwa, bez wódki. Hasło złotu! Stroje krakowskie obok strojów miejskich. Chłop z robotnicą. Krakowianka barwna wstążkami z robotnikiem. Tańce do zmroku.

Śmiech. Śpiew.

Wiele przeżyć — nowych znajomości. Kontakt wsi i miasta — najsłuszniejszy, najprzyjemniejszy, najpamiętniejszy — przy zabawie.

Szary dzień pracy — rozjaśni się wspomnieniem słonecznych, radosnych chwil — zwiąże silnie dłonie chłopów i robotników.

H. Hermanowicz



Zbójnicki.

FOTO Hermanowicz


Wesele krakowskie. Przyśpiewki


Krak


Wesele góralskie. Oczepiny.


Wesele krakowskie. Młoda para tańczy.


Góralczyki z Nowego Sącza.


Kapela.

Marjorie Kinnan Rawlings

Roczniak

Przekład autoryzowany Adama Galisa **16)**

Na stole w domu stał wonny, świeżo upieczony chleb a w rondlu skwierczał gorący tłuszcz. Penny zapalił łuczywo i poszedł do stajni, do zajęć wieczornych. Jody oprawił rybę na progu izby, przy świetle bijącym od ogniska. Ma Baxter zanurzyła kawałki szczupaka w mące i usmażyła na piękny złocisty kolor. Rodzina spożywała wieczerzę w milczeniu.

— Co wam dolega, chłopcy? — zapytała.

Nie odpowiedzieli. Nie zdawali sobie sprawy z tego co jedzą i nie słyszeli jej głosu. Wciąż mieli przed sobą nieziemską wizję. Oszołomieni byli jej niezwykłym pięknem.

ROZDZIAŁ 11.

Jelonki przyszły na świat. Jody widział w puszczy słabe ślady małych kopyt. Gdziekolwiek szedł, do rozpadliny, czy po drzewo na opał, czy do pułapek — wszędzie znajdował te znaki. Penny był zajęty wypatrywaniem zwierzyny, szedł z oczyma utkwionymi w ziemi i badał liczne ślady zwierząt, przybywających i odchodzących w różne strony. Zazwyczaj szły przed śladami większych kopyt. Lecz danielice były ostrożne. Dość często znajdowało się ich ślad w miejscu, gdzie matka karmiła się sama, a płochliwy ślad jelonka znajdował się w pewnej odległości obok. Matki wolały umieszczać swe dzieci w miejscach bezpiecznych, przesłoniętych gęstą roślinnością. Czasami spotykało się ślad dwóch koziołków. Jody z trudem opanował wzruszenie, gdy pewnego razu odszukał taki podwójny ślad. Pomyślał sobie: — jednego jelonka zostawię sarniej mamie, a drugiego zabiorę.

Któregoś wieczora wyłożył sprawę matce:

— Ma, w domu jest mleka pod dostatkiem. Czy mogę sobie przyprowadzić małego jelonka dla zabawy? Centkowanego jelonka... Pozwalasz?

— Nie pozwalam! Co to ma znaczyć, że tyle jest mleka? Zbędnej kropli nie zostaje z dnia na dzień!

— Piłby moje mleko.

— Aha, utuczysz przeklętego jelonka, a sam wyrośniesz na chuchro. Tyle jest roboty w domu, a tu jeszcze człowieku uganiaj się za takim stworem, beczącym dzień i noc.

— Bardzo bym pragnął. Tak bym chciał mieć szopa, ale wiem, że szop jest szkodnikiem, tylko, że tak trudno go wychować. Byle co... — tak się zmarszczył, że wszystkie piegi zbiegły się razem. — ... Byle mieć coś na własność. Żeby mnie słuchało, żeby było moje. — Szukał słów. — Chcę czegoś, komu mógłbym zaufać...

Matka parsknęła śmiechem.

— Tego nie znajdziesz nigdzie, ani wśród zwierząt, ani pośród ludzi. Słuchaj, Jody, daj mi z tym święty spokój. Jeżeli jeszcze raz usłyszę „jelonek" czy „szop" albo „niedźwiadek" to oberwiesz...

Penny w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie.

Nazajutrz rano powiedział: — Jody, zapolujemy dziś na jelenia. Myślę, że uda się również odnaleźć schronienie koziołka. Również przyjemnie widzieć jest jelonka na wolności jak oswajać w domu.

— Weźmiesz obydwa psy?

— Nie, tylko starą Julię: Próżnowała od czasu, kiedy ją Slewfoot zranił. Lekkie polowanko dobrze jej zrobi.

Ma Baxter odezwała się:

— Nie na długo starczyło nam dziczyzny z ostatniego polowania. Aleśmy sobie zdrowo podjedli. Przynieście parę szynek do wędzarni, a znów będzie przyjemnie wyglądało.

Dobry humor Ma Baxter zależał w wielkim stopniu od obfitości zapasów żywnościowych w domu.

Penny powiedział: — Coś mi się widzi Jody, że odziedziczysz starą fuzję. Ale nie przejmuj się, jeśli cię w potrzebie tak zawiedzie, jak mnie zawiodła.

Jody przypuszczał, że dojdzie z nią do ładu. Byle ją tylko mieć w ręku. Matka uszyła mu torbę myśliwską ze skórki szopa-albinosa. nasypał do torby kul i pakuł i wypełnił róg prochem.

Penny odezwał się znów: — Wiesz, Ma, co mi wpadło na myśl? Powinienem wybrać się do Volusii po naboje do dubeltówki. Od Lema dostałem tylko dwa naboje podczas wymiany. No i przydałoby się trochę kawy, bo tej dzikiej mam już po uszy.

— I ja też — zgodziła się. — A mnie by się przydało trochę nici i igieł.

— Miarkuję, że jelenie pasą się ostatnio chętnie nad rzeką. Widziałem w tamtych stronach wyraźne ślady. Sądzę, że zapolujemy z Jodym w okolicy nadrzecznej i ustrzelimy ze dwa jelenie, będziemy mieli zady i udźce do wymiany w sklepie w Volusii na to czego nam potrzeba. No i przy sposobności złożymy swoje uszanowanie babci Hutto.

Ma Baxter skrzywiła się niechętnie.

— Chcesz odwiedzić tę filuterną starszą panią? To tak jakbyś przepadł na parę dni. Myślę, że zostawisz Jodyego w domu, ze mną?

Jody żachnął się i spojrzał na ojca.

— Jutro wrócimy — powiedział Penny. — Jakże się Jody nauczy myśliwstwa i zachowania między ludźmi, jeśli go ojciec nie pokieruje odpowiednio.

— Świetna wymówka — powiedziała Ma — mężczyźni po prostu lubią się włóczyć w kompanii.

— A więc ty się ze mną wybierz, kochanie, a Jody niech zostanie w domu.

Jody parsknął śmiechem. Obraz matki, przepychającej z trudem swe potężne ciało przez krzaki wawrzynu, był tak komiczny, że nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Daj spokój — powiedziała Ma do Pennyego i roześmiała się. A po chwili, zwracając się do Jodyego: — Skończmy z tym, dość już tego będzie.

— W gruncie rzeczy chętnie się nas pozbywasz z domu co jakiś czas — rzekł Penny.

— To mój jedyny odpoczynek — odpowiedziała. — Pozostaw mi nabitą fuzję dziadka.

— Jody pomyślał sobie, że starożytna rusznica będzie groźniejsza dla matki niż dla niepożądanych gości. Matka kiepsko radziła sobie z bronią, a strzelba była gorsza od starej skałkówki Pennyego. Ale rozumiał, że posiadanie nabitej broni da jej większą pewność siebie. Przyniósł dziadkowy muszkiet z komórki i podał ojcu do nabicia, uszczęśliwiony, że matka nie zażądała jego świeżo uzyskanego daru, starej fuzji Pennego.

Penny gwizdnął na starą Julię. Trójka złożona z mężczyzny, chłopca i psa, ruszyła południową porą we wschodnią stronę. Majowy dzień był gorący i parny. Słońce przebijało się przez gęstwinę puszczańską, śląc żar, przed którym schronienie dawały płaskie zasłony z dębowych liści. Poprzez skórę butów odczuwał Jody ciepło przegrzanego piasku. Penny, nie bacząc na upał, szedł szybko. Jody z trudem dotrzymywał mu kroku. Julia wysforowała się nieco naprzód. Jak dotąd nie zwietrzyła jeszcze żadnego tropu. Penny zatrzymał się i spojrzał na horyzont.

— Zauważyłeś coś, tato? — zapytał Jody.

— Nie i bodaj jeszcze mniej niż nic, synu.

W odległości mili na wschód od folwarku, Penny zmienił kierunek. Ukazały się nagle w dużej obfitości ślady jelenia. Penny wybadał je dokładnie, określając kolejno wiek i płeć zwierząt, oraz czas w którym przechodziły tą drogą.

Szły tędy razem dwa wielkie samce — powiedział wreszcie — tej nocy jeszcze.

— Że ty tak potrafisz wszystko odczytać ze śladów?

— Doświadczenie mnie nauczyło.

c. d. n.



SUKIENKA NAD MORZE

Tak się już „utarło" od dawien dawna, że nad morzem najmilej widziane są dwa kolory: biały i szafirowy w różnych odcieniach — od blado-niebieskiego jak błękit nadmorskiego nieba, do ciemno-granatowego jak fale morskie u schyłku dnia...

Jeżeli więc wypadnie nam w tym roku spędzić wakacje czy urlop nad morzem, — starajmy się skompletować naszą garderobę w kolorycie i stylu stroju marynarza, a napewno będziemy odpowiednio ubrane!

Do spacerów nad morzem najlepiej nadają się sukienki sportowe o nieskomplikowanym kroju i łatwe do prania. Sukienkę białą uszyjemy z bawełnianej lub jedwabnej piki, która ślicznie się pierze, prasuje i nosi; zawsze miłe, praktyczne, niedrogie i trwałe są także sukienki z cienkiego, lnianego płótna (tzw. „chłopskiego") w kolorze naturalnym kremowym lub szarawym, przybrane jedynie kolorowym paskiem i guzikami lub naszyciami z granatowej tasiemki. Praktyczne są także komplety sportowe złożone z sukienki plażowej bez rękawów głęboko wyciętej na plecach — i luźnego żakiecika, który narzucamy na sukienkę, gdy nie chcemy zbytnio świecić nagością np. w drodze z plaży do domu.

Peki

Elegancka suknia sportowa z białej piki — wąski skórzany paseczek i guziki na karczku granatowe.

Dwie sukienki z lnianego płótna w kolorze naturalnym: ozdobą pierwszej jest nakładany marynarski kołnierz z krawatem, przybrany szeroką plisą w kolorze szafirowym — taka sama plisa ujmuje poniżej talii spódniczkę. Druga sukienka przybrana granatową tasiemką naszywaną w karo à la marynarski kołnierz.





Wąż wodny zaczyna połykać żabę. Żaby to idealne ofiary dla wężów, borsuków i licznych ptaków. Nie potrafią one walczyć przeciwko szponom, zębom i dziobom napastników.



Nie wszystkie pająki snują sieci geometryczne. Na naszym obrazku — pająk schwytał konika polnego i pośpiesznie „bandażuje" go swą nitką.



Wielki pająk włochaty „kraje" na części schwytanego konika polnego. Wielkie pająki tropikalne chwytają i obezwładniają nawet ptaki.

NATURA OCIEKA KRWIĄ

Nie idealizujemy dziś natury. Nie idziemy za przykładem Jana Jakóba Rousseau, który zalecał społeczeństwom osiemnastego wieku powrót do natury. Wiemy, że w świecie natury toczą się surowe i bezlitosne walki o byt ofiarą których padają nieodwołalnie jednostki słabsze.

Wiemy też, że w przyrodzie jeśli chodzi o bezwzględność w tej walce o zdobycie pożywienia, przodują owady i że w ich świecie popełniane są czyny tak „okrutne", że cofnęliby się przed nimi nawet... hitlerowcy.

Ale: owady nie są istotami obdarzonymi rozumem. Nie mają też poczuć moralnych, które w istocie ludzkiej stwarzają hamulce i określają granice egoistycznego działania. Postępowanie owadów jest uwarunkowane tylko i wyłącznie instynktem, odziedziczonym od prawieków i dyktującym niezmienne sposoby bycia i życia owadziego.

Weźmy dla przykładu osę. Moglibyśmy powiedzieć, że jest to jakby mała, dość zawile zbudowana maszynka, która może i musi wykonywać tylko pewne z góry określone czynności i to jedynie w pewnych określonych warunkach. Jeśli te warunki ulegną zmianie — osa będzie zgubiona, gdyż nie potrafi zmienić swego instynktu, dyktującego jej czynności, nie zdoła przystosować się do nowych warunków.

Postępowanie osy dyktowane jest koniecznością zdobycia pożywienia. Surowe i niezmienne prawo natury głosi: „jeśli znajdziesz, lub chwycisz żer — jedz go".

Nie zawsze łatwo jest znaleźć pożywienie. To też zwierzęta większą część swego życia poświęcają na zdobycie pokarmu. Szukanie żeru jest więc dominantą w życiu wszystkich zwierząt, bez względu na to, czy — jak wężowi — wystarcza jeden solidny posiłek na parę miesięcy, czy — jak małe ptaszki, muszą jeść co chwila.

Większość zwierząt odżywia się wyłącznie bądź mięsem, bądź roślinami. Tylko niektóre, jak szympans, szczur, łączą oba rodzaje pożywienia. Tygrys odwróci się z niesmakiem od talerza najpiękniejszych truskawek, konik polny nie zwróci uwagi na smakowity befsztyk.

Zależnie od rodzaju pożywienia, możemy przeprowadzić w przyrodzie żywej jedną wielką linię podziału: po jednej stronie znajdą się zwierzęta mięsożerne, agresywne, zagrażające życiu innych zwierząt. Ich przedstawicielami są lew, orzeł, pająk. Po drugiej stronie stoją zwierzęta trawożerne, jeleń, szczygieł i inne. Są defensywne, nie atakują innych stworzeń, szukają przed napastnikami ochrony.

Ale i te agresywne, mięsożerne, nie są okrutne, choć ludzie skłonni są tak określić ich postępowanie. Nie są okrutne, gdyż nie mają poczuć moralnych. Działają automatycznie i — tym więcej automatycznie, im niżej stoją w hierarchii ewolucyjnej.

Zwierzę widzi, słyszy lub czuje coś, co nadaje się do jedzenia. ŻER. Cały jego aparat mięśniowy i zmysłowy wszczyna natychmiastowe, automatyczne działanie. Atakuje, obezwładnia i pożera.

A mimo to — zwierzę nie jest okrutne. Okrutny bywa tylko człowiek. On jeden potrafi zabijać bez potrzeby, dla zabawy, dla sportu. On jeden zdolny jest wyniszczać całe rasy zwierząt, jeśli tak mu się podoba. I — nie tylko zwierząt, jak przekonał nas o tym hitleryzm.

Wyobraźmy sobie na chwilę, że jesteśmy... wilkiem. Nie ma dla wilków ani sklepów, ani restauracji. Jego pożywienie, jego jutro, zależy od tego, czy zdoła on schwytać, znaleźć i zjeść — jakieś inne zwierzę. Czy w takim świecie wiele istot ludzkich oparło by się zwierzęcemu instynktowi?

Wobec konieczności walki o pokarm natura uzbroiła zwierzęta mięsożerne w nadzwyczajne bronie i umiejętności podchodzenia i atakowania ofiary. Trawożerne dysponują bardzo wyczulonymi zmysłami, uprzedzającymi je przed grożącym niebezpieczeństwem, mają barwy „ochronne" i różne cechy charakteru obronnego.

Znamy naprzykład motyle, które dzięki swemu wyglądowi udają martwe liście. Są też motyle, które posiadają w skrzydłach swych duże przezroczyste „dziury" i nie dostrzega ich głodny ptak. Są owady, wyglądające jak gałązka drzewa, dzięki czemu udaje się im schwycić muchę, która zbliska podejdzie, nie przeczuwając niebezpieczeństwa.

Niezliczone są rodzaje naturalnej broni owadów w walce o pożywienie. W walce, która toczy się dniem i nocą, pod niebem tropikalnym i na białych przestrzeniach podbiegunowych. W powietrzu, wodzie i na ziemi.

Illustrated.



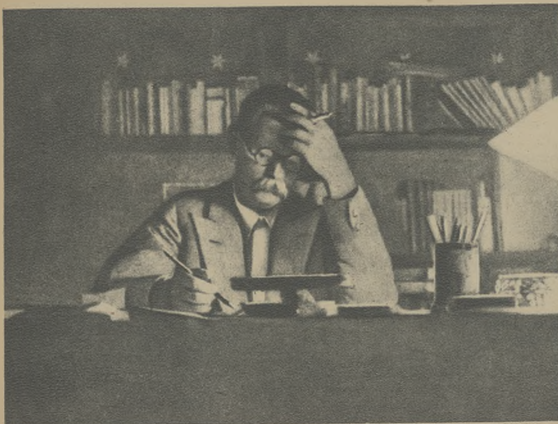
Osa kluje żądłem schwytaną cykadę. Nie będzie jej jadła, schowa ją do „spiżarni" dla swych młodych. Żądło nie zabija, lecz tylko znieczula i obezwładnia cykadę, zachowując jej ciało w stanie świeżym przez dłuższy czas.



Zwykła tragedia w świecie owadzim: mucha w sieci pajęczej. Ta sieć to wspaniałe dzieło inżynieryjne.



Zielony chrząszcz — pasożyt przednimi nóżkami drażni schwytaną mrówkę, zmuszając ją tą „pieszczotą" do zwymiotowania pokarmu. Wzamian mrówka ssać będzie wydzieliny chrząszcza.



Gorki w Sorrento (1932 r.)

Maksym Gorki

Tunel

(z opowieści włoskich)

Oto historia budowy simplońskiego tunelu, opowiadana przez czarnego, jak chrabąszcz, włoskiego robociarza o śmiałej twarzy i silnych brunatnych dłoniach:

— Nieprawdaż, signor, przecież i ziemia musi coś czuć? Kiedy weszliśmy w nią głęboko, po wycięciu tej rany w górze, — ziemia tam, w środku, przywitała nas groźnie. Zionęła na nas gorącym oddechem, od którego zamierało serce, głowa ciążyła i bolały kości, — tego doświadczył niejeden! Później miotała w nas głazami i oblewała gorącą wodą: to było bardzo straszne! Chwilami, przy blasku ognia, woda przybierała czerwoną barwę, i ojciec mój mawiał do mnie: raniliśmy ziemię, zatopi, spali ona nas wszystkich swą krwią, zobaczysz! Oczywiście, to fantazja, ale gdy takie słowa słyszy się głęboko pod ziemią, wśród dusznego mroku, płaczliwego plusku wody i zgrzytu żelaza o kamień, — zapomina się o fantazjach. Tam wszystko było fantastyczne, drogi signor; my, ludzie, — tacy malutcy, i ona, ta góra — do nieba, góra, której świdrowaliśmy łono... to musi się widzieć, aby zrozumieć! Musi się widzieć przez nas wyciętą czarną paszczę, malutkich ludzi, wchodzących do niej o świcie, — a słońce patrzy ze smutkiem w ślad za idącymi do wnętrza ziemi, — musi się widzieć maszyny, ponure oblicze góry, słyszeć głuchy łoskot głęboko w niej i echo detonacji, niby chichot szaleńca.

— Człowiek umie pracować! O, signor, mały człowieczek, kiedy chce pracować, jest niezwyciężoną siłą! I proszę wierzyć: koniec końców ten mały człowieczek zrobi wszystko, co chce. Mój ojciec z początku nie wierzył:

— „Przeciąć górę nawylot z kraju do kraju", — powiadał, — „to przeciw Bogu, który podzielił ziemię ścianami gór, — zobaczycie, że madonna nie będzie z nami!" Mylił się, madonna jest ze wszystkimi, którzy ją kochają. Później ojciec też myślał prawie tak samo, jak ja, dlatego, że poczuł się wyższym, silniejszym od góry; ale był czas, kiedy w święta, siedząc za stołem przy lampce wina, wpajał we mnie i innych: — „Dzieci boga", — to było ulubione jego powiedzonko, dlatego, że należał do ludzi poczciwych i religijnych, — „dzieci boga, tak nie wolno walczyć z ziemią, ona się zemści za swoje rany i pozostanie niezwyciężona! Zobaczycie: prześwidrujemy górę do serca, a kiedy dotkniemy go — ono nas spali, będzie miotało ogień, dlatego, że serce ziemi jest ogniste, to wszyscy wiedzą! Uprawiać ziemię — tak, pomagać jej urodzajom — przykazano nam, a my szpecimy jej oblicze, jej formy. Patrzcie: im dalej wdzieramy się w głąb góry, tym gorętsze jest powietrze i trudniej oddychać"...

— Nie on jeden tak myślał i to była prawda: im dalej, tym goręcej w tunelu, tym więcej ludzi chorowało i padało. I coraz mocniej biły gorące źródła, a dwóch naszych, z Lugano, oszalało. Po nocach w naszych koszarach wielu bredziło przez sen, jęczało i zrywało się w przerażeniu z pościeli...

— „Czy nie mam racji?" — mówił ojciec, ze strachem w oczach, pokasłując coraz częściej i bardziej głucho... — „Czy nie mam racji?" — mówił. — „Ona jest niezwyciężona, ziemia!"

— I w końcu — położył się, ażeby już nigdy nie wstać. Był silny, ten mój staruszek, ponad trzy tygodnie walczył ze śmiercią, uparcie, bez skarg, jak człowiek, znający swą cenę.

— „Moja praca jest skończona, Paolo", — rzekł mi pewnej nocy. — Dbaj o siebie i wracaj do domu, niech ci sprzyja madonna!" Potem długo milczał z zamkniętymi oczyma, nie mogąc złapać tchu.

— Ojciec wziął mnie za rękę, przyciągnął do siebie i mówi — to święta prawda, signor! — „Wiesz, Paolo, synu mój, ja jednak myślę, że to się stanie: my i ci, którzy idą z drugiej strony, odnajdziemy siebie wzajemnie w głębi góry, spotkamy się — czy wierzysz?" Ja — wierzyłem. — „Dobrze, mój synu! Tak trzeba: wszystko trzeba robić z wiarą w szczęśliwy koniec i w boga, który pomaga, przez modlitwy madonny, dobrym sprawom. Proszę ciebie, synu, jeżeli to się stanie, jeżeli ludzie się spotkają, — przyjdź do mnie na mogiłę i powiedz: ojcze — zrobione! Żebym wiedział!"

— To było piękne, drogi signor, i ja mu obiecałem. Umarł po pięciu dniach od tej rozmowy, a na dwa dni przed śmiercią prosił mnie i innych żeby zakopać go tam, gdzie pracował, w tunelu, bardzo prosił, ale to już było majaczenie, sądzę...

— My i ci, którzy szli z przeciwnej strony, spotkaliśmy się w głębi góry w trzy tygodnie po śmierci ojca — to był szalony dzień, signor! O, kiedyśmy usłyszeli tam, pod ziemią, w mroku, szum innej pracy, hałas idących nam na spotkanie, pod ziemią — proszę zrozumieć, signor, — pod ogromnym ciężarem ziemi, która mogła rozdusić nas, malutkich, wszystkich razem!

— Przez wiele dni wsłuchiwaliśmy się w te dźwięki, takie huczne, co dzień zrozumialsze, jaśniejsze, i opanowywał nas radosny szał zwycięzców — pracowaliśmy, jak złe duchy, jak bezcieleśni, nie odczuwając zmęczenia, nie potrzebując wskazówek — to było piękne, jak taniec w słoneczny dzień, słowo honoru! I wszyscy zrobiliśmy się miłymi i dobrymi, jak dzieci. Ach, gdyby pan wiedział, jak silne, jak nie do wytrzymania namiętne jest pragnienie spotkania człowieka w ciemności, pod ziemią, w którą, niby kret, wgryzło się przez długie miesiące!

— A gdy wreszcie runęła warstwa skały, i w otworze zamigotało czerwone światło pochodni, i czyjaś czarna, mokra od łez szczęścia twarz, i jeszcze pochodnie i twarze, i zagrzmiały okrzyki zwycięstwa, okrzyki radości — o, to najlepszy dzień mojego życia, i, wspominając go, czuję, — nie, nienadaremnie żyłem! Była praca, moja praca, święta praca, signor, powiadam panu! A kiedy wyszliśmy z pod ziemi na słońce, wielu, kładąc się piersią na ziemię, całowało ją, płakało — i to było piękne, jak bajka! Tak, całowali zwyciężoną górę, całowali ziemię — tego dnia szczególnie bliską i zrozumiałą stała się ona dla mnie, signor, i pokochałem ją, jak kobietę!

— Oczywiście poszedłem do ojca, o tak! Oczywiście, chociaż wiem, że martwi nie mogą słyszeć, ale poszedłem: należy szanować życzenia tych, którzy dla nas pracowali i nie mniej od nas cierpieli — nieprawdaż?

— Tak, tak jest, poszedłem na jego grób, zapukałem w ziemię i powiedziałem — jak tego pragnął:

— Ojcze — zrobione! — powiedziałem. Ludzie — zwyciężyli. Zrobione, ojcze!

(Autoryzowany przekład z rosyjskiego Wiktora Woroszylskiego)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

LOGOGRYF

1						
	2					
3						
	4					
5						
	6					
7						
	8					
9						
	10					
11						
	12					
13						
	14					
15						
	16					
17						
	18					
19						

Z następujących liter a a a a a a a a a a a a a a a a a a a a b c c d e e e e e e e e e e f g g g i i i i i i i j k k k k k k k k ł ł ł m m n n n n n n ń o o o o o [illegible] ó p p p p r r r r r [illegible] w y y y y z z z z utworzyć 19 wyrazów o podanych znaczeniach i wpisać poziomo do powyższej figury. Litery na miejscach zaznaczonych, czytane z góry na dół, dadzą imiona i nazwiska dwóch znanych malarzy polskich, którzy są jednocześnie [illegible].

Znaczenie wyrazów: 1) Pojedynczo, osobno, luzem, bez nadzoru; 2) Treść, przedmiot omawiany; 3) Człowiek przenoszący ciężary; 4) Rzadka tkanina z mocnych nici, do wyszywania włóczką i haftu; 5) Oddział szpitala, przeznaczony do szkolenia studentów lub początkujących lekarzy; 6) Kasetki pancerne w skarbcach na pieniądze i przedmioty wartościowe; 7) Stukał, uderzał (np. skrzydłami); 8) Imię kobiece; 9) Tracić krew; 10) Rodzaj wykwintnego pojazdu; 11) Znane zdrojowisko w płd. Polsce; 12) Rodzaj utworu poetyckiego; 13) Wszelkie wróżby, znaki na przyszłość; 14) Część rodziny; 15) Miasto w woj. łódzkiem; 16) Olbrzymi ssak morski; 17) Korzystać, użyć; 18) Człowiek wyrażający się lekceważąco; 19) Rozpęd, rozmach (np. w skokach sportowych).

ZAGADKA

Litera w literze —
Smaczna albo ma pierze.

Rozwiązanie powyższych zadań przesyłać należy najpóźniej do dnia 22-go lipca b.r. pod adresem: Redakcja tygodnika „Świat Młodych", Warszawa, ul. Grażyny 8, z dopiskiem „Rozrywki umysłowe".

Za rozwiązanie ich przyznane zostaną nagrody książkowe.

Jednocześnie w numerze dzisiejszym rozpoczynamy „III-ci konkurs wytrwałości", który polega na rozwiązaniu jak największej ilości zadań, zamieszczonych w nr.nr. 18, 19, 20 i 21 „Świat Młodych", a dla zwycięzców przeznaczone są specjalne nagrody.

Uwagi: 1) Zadania zamieszczone w numerze 17-tym zalicza się do II-go konkursu wytrwałości.

2) Magiczny krzyż chemiczny z nr. 17-go, ze względu na omyłkowe zamieszczenie niewłaściwego rysunku, unieważnia się, a termin nadsyłania pozostałych rozwiązań z nr. 17-go przedłuża się do dnia 15 lipca b.r.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 12.

MOZAIKA MUZYCZNA:

Poziomo: Pajace, Oberon, Mazepa;
Pionowo: Marta, Grigri, Gejsza.

PTASIE REBUSIKI:

lelek, dudek, remiz, kawka — kura.

MAGICZNY KWADRAT LICZBOWY:

2	9	4
7	5	3
6	1	8

(Jest to oczywiście jedno z wielu prawidłowych rozwiązań).

Nagrody za dobre rozwiązanie zadań z nr 11-go otrzymują:

1) Anna Wiśniewska — Warszawa, ul. Grottgera 3 m. 5, książkę „Żądło Genowefy", Janusza [illegible].

2) Zenon Skowroński — Poznań, ul. Wojskowa 17 m. 4, książkę „Puszkarz Orbano" Z. Kossak Szczuckiej.

ROZSTRZYGNIĘCIE I-go KONKURSU WYTRWAŁOŚCI

Na konkurs otrzymaliśmy 165 odpowiedzi. Za największą ilość trafnych rozwiązań nagrody otrzymują:

I-szą nagrodę: komplet ping-ponga: Mieczysław Kozłowski, Chełmno, Rynek 18.

II-gą nagrodę: wieczne pióro Jan Tokaj, Warszawa, ul. Trębacka 10.

III-cią nagrodę: kwartalna prenumerata „Świata Młodych", Zygmunt Zwolski, Pabianice, ul. Żelazna 15.

ABC - HOLLYWOOD

Tytuł nie jest żartem. To jedna z najbardziej poważnych spraw tego niezwykłego przedmieścia. Wszyscy na całym świecie znają Gretę Garbo, Clarka Gable, Claudette Colbert, Roberta Taylora i wielu wielu innych. Bywalcy kinowi wiedzą też, kto to jest Cecil B. de Mille, Ernest Lubitsch czy nawet Clarence Brown.

To są ludzie klasy „A", ludzie, którzy występują w tak zwanych „A — pictures". Każda szanująca się wytwórnia kręci około 25—40 „A' pictures" rocznie. Budżet takiego filmu musi wynosić nie mniej jak 500.000 dolarów. Dla filmów tej klasy nie ma nikogo, który byłby za dobry lub za drogi. Do współpracy wciąga się wielkich ludzi pióra jak Remarque („Na zachodzie bez zmian" i „Łuk triumfalny"), jak Hemingway („Pożegnanie z bronią") jak Thorton Wilder („W cieniu podejrzenia"). Najznakomitsi scenarzyści dokonują przeróbek powieści, wszechświatowej sławy architekci rysują dekoracje, angażuje się wyłącznie gwiazdy, które nie pobierają mniej jak 10.000 dolarów tygodniowo, a nawet w rolach epizodycznych (supporting roles) występują „featured stars" czyli w każdym razie znane nazwiska.

Takim filmem klasy A jest widziana niedawno w Polsce „Historia jednego fraka". „8 gwiazd i 46 gwiazdek" jak szumnie głosi bardzo zresztą nieestetyczny amerykański afisz.

Zanim dojdzie do nakręcania filmu klasy A czyni się w całej wytwórni ogromne przygotowania. Kierownik produkcji odbywa wiele konferencji z poszczególnymi producentami filmów, ci angażują reżyserów z pośród grona nazwisk zakontraktowanych przez daną firmę, albo nawet z poza tego grona, o ile ktoś wydaje się specjalnie predestynowany do reżyserowania danego tematu. Producent wraz z reżyserem obsadzają role główne i uboczne aż do najmniejszych. Wszystko musi być znane, kolosalne, wielkie, potężne, działające na wyobraźnię widzów. Reklama dochodzi do kapitalnych skrótów. Naprzykład Grety Garbo nie reklamowało się pełnym imieniem i nazwiskiem, ale tylko „G A R B O" — wszyscy widzowie wiedzieli, że pójdą się dobrze wypłakać. Gdyż dwie tylko rzeczy ściągają tłumy widzów do kina: dobry śmiech i dobry płacz. Europejska, bardziej kulturalna publiczność inaczej ocenia te szablonowe twory Hollywood, ale w Ameryce to jest najważniejsze. Nazwiska literatów, scenarzystów, reżyserów podawane są w afiszach drobnym pismem tylko po to, aby przyciągnąć smakoszy. „Wołami" reklamuje się gwiazdy, a sam afisz przedstawia tylko nogi lub scenę pocałunku, względnie scenę pocałunku lub nogi.

Premiera takich filmów odbywa się z niesłychaną pompą w Hollywood, Nowym Jorku lub innym wielkim mieście przy udziale gwiazd i oszalałych tłumów, wśród spoconych policjantów, którzy chronią „boskie gwiazdy" od zgniecenia. To jest Hollywood klasy A, to są ludzie klasy A i filmy „super, super"... ale tuż obok, w tej samej wytwórni istnieje mniej bogaty ale znacznie większy departament klasy „B". Co on oznacza i jakie ma zadania? Filmy klasy „B" nie mają prawa kosztować więcej jak 200.000 dolarów za „sztukę" Ponieważ za tę cenę nie można w ogóle ani zaangażować gwiazd ani reżysera, ani scenarzysty ani pracować w studio, rzecz dzieje się przeto jak następuje: Specjalny producent wysyła ekipę w góry i na stepy z zadaniem nakręcenia 100.000 metrów taśmy z widokami nieruchomymi i ruchomymi (z samochodu) w rozmaitych ujęciach i o rozmaitych porach dnia. Podczas gdy dwaj operatorzy dokonują tych niekorzystnych zdjęć, reżyser wybiera sobie jakiś film klasy „A" i „chłopakowi do wszystkiego" który jest niesłychanie dumny, że pracuje dla „movie" każe go przerobić w ciągu jednego dnia tak, aby go nawet autor nie poznał.

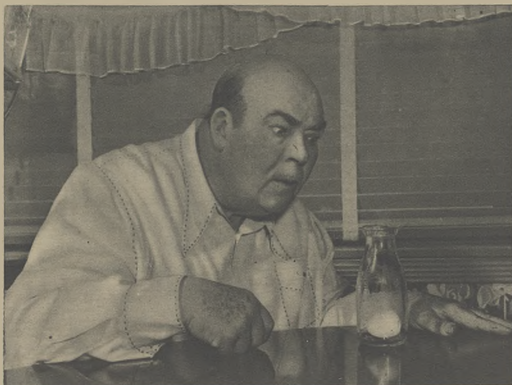
Nie jest to bynajmniej trudne. Powiedzmy w filmie klasy „A" „Jajko i ja" Claudette Colbert kocha się w swym partnerze, który, traci nogę w katastrofie samochodowej, stąd tragedia, która jednak kończy się dobrze. Scenarzysta typu „B" przerabia to w ten sposób, że w jego filmie „Kurczę i ja" bohater kocha swą najdroższą, ale najdroższa łamie rękę, stąd komplikacje i oczywiście wszystko także kończy się dobrze. Znakomity scenarzysta filmu „Jajko i ja" nie może nic zarzucić.

Filmy klasy „B" odbywają się prawie bez wyjątku na Dzikim Zachodzie, a to ze względu na taniość pejzażu. „Gwiazdki" prawie w ogóle nie wychodzą poza studio, podczas gdy na ustawionym za nimi ekranie przewijają się rzucane z innego aparatu najpiękniejsze i uprzednio sfilmowane widoki. W ten sposób film „B" jest gotów w trzy tygodnie i idzie na ekrany mniejszych kin.

Filmy te są podstawą amerykańskich wytwórni. Mało kosztują, wiele przynoszą (ok. 100% kosztów) nic się nie ryzykuje, a publiczność chętnie widzi w szablonowych bohaterach, cierpiących i dobijających zawsze do happy-endu, swe własne odbicie. Dlatego też „happy end" jest podstawą każdego filmu.

Ale za tym blichtrem filmów „A" i „B" kryje się Hollywood „C" (condamned — potępione). To Hollywood tysięcy ludzi, którzy przyjechali tu dla pracy i zarobku i którzy, nie mając „nazwiska", wykorzystywani są do ostatnich granic. Zorganizowane przez Związki Zawodowe strajki nie mają żadnego wpływu na politykę koncernów. Ludzi jest tyle, że gdy związkowcy strajkują, wytwórnie czerpią otwartą ręką z przepełnionego rynku. Żadna ustawa nie reguluje stosunku wytwórni do „szarego pracownika". To też ci mali ludzie Hollywood, bez których nie byłoby przecież wielkich filmów z udziałem „tysięcznych tłumów" są jedynymi obywatelami Stanów Zjednoczonych, którzy nie wierzą w... „happy end".

A. Elba



Billy Hause, nowy komik Hollywood w filmie „Jajko i ja".



Dworzec kolejowy w filmie klasy „A" p.t. „Pościg".

LEKKOATLETKI WALCZĄ O TYTUŁ MISTRZYŃ



Perczyk



Moderówna



Mitan



Jasieńska

Tegoroczne lekkoatletyczne kobiece mistrzostwa Polski rozegrane zostaną w stolicy Śląska, Katowicach. W roku zeszłym w Krakowie start Walasiewiczówny przyniósł jej tytuły mistrzowskie w biegach krótkich, płotkach i w skoku w dal. Obecnie lekkoatletki nasze walczą niejako o następstwo po wielokrotnej rekordzistce i mistrzyni świata. W sprintach zacięty bój o tytuł najszybszej Polki rozegra się między Łodzianką Moderówną a młodą Ślązaczką Hejducką. Wiele może mieć do powiedzenia Krakowianka Perczyk, która jest wielkim talentem także i w skoku wzwyż. Druga Krakowianka Mitan, najlepsza nasza płotkarka, jest groźną przeciwniczką Moderówny i Słomczewskiej-Nowakowej w skoku w dal. Kwaśniewska jest już tylko instruktorką, jej miejsce w oszczepie może zająć Krakowianka Stachowicz lub Ślązaczka Sendzielorz. W pchnięciu kulą obok Poznanianki Jasińskiej do tytułu pretenduje jeszcze jedna młoda Krakowianka Cieślewicz.



ROGER VEREY

wicemistrz Europy i wielokrotny mistrz Polski, popularnie zwany „Rożkiem", jest ciągle naszym najlepszym skifistą i nie zapowiadą się, aby w bieżącym sezonie został zdetronizowany.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

J. Warszawska, Toruń. W jednym z poprzednich numerów zawiadomiliśmy Was, że Redakcja nadesłanych materiałów nie wykorzysta. Nie zamówionych rękopisów nie zwracamy. Ob. T. Z. w naszej Redakcji już nie pracuje.

B. Żytnowski, Sławiszyn, Jerzy Fedak, Lublin, Maj Marian, Mielec. Tym razem nie skorzystamy.

Z. Alter — Zieniewicz, Łódź. Nadesłanej noweli nie wykorzystamy, prosimy jednak o współpracę. A może raczej coś z tematyki aktualnej, współczesnej?

A. Jaroszewicz, Warszawa. Zapowiadacie korespondencję z Wybrzeża, a przysyłacie notatkę o C.U.P. Interesują nas raczej reportaże regionalne i oryginalny materiał ilustracyjny.

Jan-Ba, Szopienice. Listów, o których wspominacie, nie otrzymaliśmy. Wasze uwagi na temat strony graficznej pisma są słuszne, ale nie wszystkiemu da się odrazu zaradzić. Materiałów do „XX-go wieku" nie wykorzystamy. Rozrywki umysłowe przekazaliśmy redaktorowi tego działu do ew. wykorzystania. Dziękujemy za życzenia i wzajemnie serdecznie Was pozdrawiamy.

Iv. Boy. „O jeziorach Mazurskich" — nie dla nas.

FILM POLSKI

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAWCA: SPÓŁDZ. WYD. »PŁOMIENIE«
*
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, ul. GRAŻYNY 8. TEL. 8-51-32
PRENUMERATA KWARTALNA ZŁ. 225.— Z PRZESYŁKĄ DO DOMU
WPŁACAĆ NA KONTO P. K. O. WARSZAWA, Nr I - 4252

Rotograwiure — Drukarnia Nr. 2. Sp. Wyd. „Czytelnik" — Warszawa. B-35014

Świat
MŁODYCH



FINAŁ PIŁKARSKI OSTATNIEJ OLIMPIADY

WŁOCHY — AUSTRIA 2:1